

JAK BRAĆ ODPOWIEDZIALNOŚĆ ZA WSPÓLNĄ PRZESTRZEŃ?

ODPOWIADA **DR INŻ. ARCH. ARTUR JERZY FILIP**



**Wydział
Architektury**

POLITECHNIKA WARSZAWSKA

Na początek proste pytanie - czym zajmuje się Pan na co dzień?

Tak najogólniej, to zajmuję się urbanistyką i planowaniem miast. A wąskim zagadnieniem, kluczowym dla mnie od wielu lat i będącym osią moich działań, jest współzarządzanie w projektach urbanistycznych, czyli kwestia tego kto planuje i w jaki sposób to robi. Chodzi o to, żeby uspołeczniać, demokratyzować, usprawniać proces planowania poprzez włączanie w niego większej liczby stron, głosów. W zakresie współzarządzania najbardziej interesuje mnie nie tyle partycypacja pojmowana jako aktywność mieszkańców wskazujących na przykład, który projekt powinien zostać zrealizowany, co włączanie w ten proces bardzo różnych, szeroko pojętych instytucji: publicznych, półpublicznych, biznesów czy innych grup. Generalnie, sednem jest budowanie wspólnych

procesów, zarządzanie przestrzenią wspólną i przede wszystkim wspólne branie za nią odpowiedzialności.

Mógłby Pan krótko opowiedzieć, jak to się stało, że zajął się tym tematem? Jak wyglądała Pana dotychczasowa ścieżka kariery?

Studiując na Wydziale Architektury, przez lata byłem stałym bywalcem biblioteki Instytutu Filozofii i Socjologii UW, studiowałem też Malarstwo na warszawskiej ASP. Starłem się zawsze widzieć problematykę miejską szeroko. I tak, kończąc Wydział Architektury i poświęcając dyplom magisterski ważnej dla Warszawy, historycznej idei Alei na Skarpie, nie ograniczyłem się do przedstawienia akademickiej pracy studialnej, ale zainicjowałem i „rozkręciłem” sporą inicjatywę na skalę całego miasta. Wyszło to nawet nieco zabawnie, bo na mojej obronie magisterskiego byli redaktor i fotograf z Gazety Stołecznej, i zanim jeszcze się obroniłem o mojej pracy było głośno w prasie i radiu. Ale mówię o tym, bo właśnie wtedy moja wrażliwość na działania z zakresu współzarządzania bardzo dojrzała. To były moje pierwsze, bezcenne doświadczenia.

Mógłby Pan opowiedzieć trochę więcej o tym dyplomie?

Projekt prezentował ideę Warszawskiej Drogi Kultury na Skarpie i dotyczył sposobu funkcjonowania i zagospodarowania ośmiokilometrowego ciągu Skarpy Wiślanej. Tak rozległy

obszar to naprawdę wielkie urbanistyczne przedsięwzięcie, a mnie fascynowało wówczas przede wszystkim to, w jaki sposób można by taki projekt realizować oddolnie, obywatelsko. Bo choć w Warszawie było już wtedy sporo lokalnych inicjatyw, to żadna z nich nie była tak duża. Interesował mnie problem skali w planowaniu obywatelskim. Z czasem czułem też coraz bardziej, że jest to zagadnienie, któremu warto poświęcić rozprawę doktorską.

I jak dalej ewoluowały Pana zainteresowania? Jak przebiegała Pana kariera, że znalazł Pan się w tym miejscu, co teraz?

Zacząłem pracę nad doktoratem rozglądając się po świecie, szukając inicjatyw miejskich choć trochę podobnych do tej, w której realizację zaangażowany byłem w Warszawie (przez co, niestety, trochę ją osierociłem). Ważnym momentem w moim rozwoju było otrzymanie rocznego stypendium Fulbrighta w USA – dzięki niemu mogłem przyjrzeć się z bliska amerykańskim projektom miejskim, w których współzarządzanie realizowane było na wielką skalę. Moja rozprawa doktorska oraz wydana na jej podstawie książka „Wielkie plany w rękach obywateli” oparte zostały w dużej mierze na wynikach badań prowadzonych w amerykańskich miastach.

Czego dokładnie dotyczyły badania, w których uczestniczył Pan w USA? Właśnie kwestii współzarządzania?

Tak, dotyczyły głównie budowania partnerstw wokół dużych przedsięwzięć urbanistycznych. Interesowało mnie w nich właśnie wyzwanie wielkiej skali – to, jak można zrobić projekt, który rozwija się przez kilka dekad i dotyczy bardzo dużej przestrzeni, a mimo to nie traci swojego obywatelskiego uroku. Badania nauczyły mnie właśnie, że takie procesy wiążą się z budowaniem bardzo złożonych koalicji i odpowiednią rotacją osób zaangażowanych w realizowane działania. Że konieczne są kolejne generacje liderów, zachowujących i rozwijających pierwotny, obywatelski charakter projektu.

Podczas pobytu w USA starałem się jak najdokładniej przyjrzeć tym procesom, zrozumieć ich działanie „od kuchni”. Dlatego główną metodą badawczą stosowaną przeze mnie były wywiady pogłębione – przeprowadziłem ich ponad sto, rozmawiając z niezwykle ciekawymi i doświadczonymi ludźmi: amerykańskimi aktywistami, urzędnikami, politykami, ekspertami. Co prawda, w książce byłem w stanie przedstawić jedynie wycinek tych treści, ale cała ta wiedza na zawsze została w mojej głowie. Ukształtowała mnie.

Jak przebiegała Pana kariera po powrocie z USA?

Podczas mojego doktoratu pojawiły się możliwości prowadzenia zajęć,

stopniowo zacząłem coraz bardziej wiązać się z Wydziałem Architektury, tyle że już w nowej roli jako wykładowca. Po powrocie ze Stanów zostałem na uczelni i tu do dzisiaj kontynuuję swoje badania. Ale praca na uczelni nigdy nie wyczerpywała moich zawodowych zainteresowań. Zaraz po studiach przez kilka lat zdobywałem doświadczenie zawodowe w pracowni urbanistycznej dra Aleksandra Chylaka. Teraz również jestem stale aktywny jako autor opracowań badawczych i planistycznych dla instytucji publicznych, ale też jako ekspert i doradca w zakresie współzarządzania, długi czas współpracując między innymi z Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie czy wieloma organizacjami pozarządowymi. Cały czas fascynuje mnie urbanistyka rozumiana jako realne zaangażowanie w procesy miejskie. Staram się nie ograniczać do jednego rodzaju aktywności, działam na wielu płaszczyznach i myślę, że dzięki temu zgromadziłem wiele doświadczeń, bardzo się rozwinąłem i choć trochę rozumiem to, jak naprawdę „działają” miasta.

Imponująca lista doświadczeń i faktycznie bardzo ciekawa historia. Wspominał Pan, że już podczas studiów magisterskich zajął się tematem współzarządzania – co zdecydowało, że już wtedy to zagadnienie przykuło Pana uwagę?

Interesowało mnie systemowe rozumienie miejskich procesów i czułem, że właśnie urbanistyka daje mi najwięcej przestrzeni do rozwoju intelektualnego. Fascynuje mnie ta charakterystyczna dla urbanistyki interdyscyplinarność

- zajmując się urbanistyką, czerpiesz z dziedzin filozofii, socjologii, geografii czy ekonomii. Urbanistyka wręcz zmusza do patrzenia szerzej, do widzenia więcej, do podważania schematów, do bycia krytycznym wobec rzeczywistości, w jakiej przyszło nam funkcjonować.

„Fascynuje mnie charakterystyczna dla urbanistyki interdyscyplinarność – zajmując się urbanistyką, czerpiesz z dziedzin filozofii, socjologii, geografii czy ekonomii. Urbanistyka wręcz zmusza do patrzenia szerzej, do widzenia więcej, do podważania schematów, do bycia krytycznym wobec rzeczywistości”.

Wątkiem, który był popularny w urbanistyce podczas moich studiów, była partycypacja. Więć pójście w tę stronę było dla mnie dość naturalne. Tyle że właśnie starając się widzieć więcej, szybko zacząłem interesować się niebanalnymi wyzwaniem, takimi jak wspomniane już wielka skala czy poszerzenie zakresu partycypacji o nietypowych aktorów miejskich, np. instytucje kultury.

Ważne były też osoby, które spotykałem na swojej drodze, a które były dla mnie wzorem takiej intelektualnej postawy. Architekt Michał Owadowicz nie tyle nawet otworzył mi oczy na znaczenie teorii w architekturze, ale był wzorem osoby, która czytała nie mniej niż projektowała, i mówiła nie gorzej niż rysowała. I to patrząc na niego myślałem sobie, że właśnie takim architektem chciałbym być. Miałem też wielką przyjemność przez dłuższy czas współpracować ze znakomitym architektem Markiem Budzyńskim, który każdą projektową decyzję podejmował zawsze w kontekście pogłębionej meta refleksji nad

światem, historią, człowiekiem. Zaś profesor Danuta Kłosek-Kozłowska, promotorka mojej rozprawy doktorskiej, pomogła mi eksplorować świat architektury i urbanistyki od strony akademickich badań. I to między innymi ona pomogła mi odkryć i docenić piękno pracy na uczelni.

Wspominał Pan wcześniej o tym, że udało się Panu dotychczas zgromadzić różnorodne doświadczenia – mógłby Pan o nich więcej opowiedzieć, opisać najciekawsze Pana zdaniem inicjatywy?

Poza licznymi drobniejszymi projektami, w które na różnych etapach byłem zaangażowany, dwa stanowiły wręcz kamienie milowe dla mojego rozwoju. Pierwszy, czyli wspomniana inicjatywa Warszawskiej Drogi Kultury na Skarpie, skierowała mnie w stronę badań i doktoratu.

To był wielki projekt, którego oczywiście nie udźwignąłbym sam, otaczała mnie masa cudownych i bar-

dziej ode mnie doświadczonych ludzi. Uczyłem się od nich na każdym kroku. Ale z drugiej strony, to ja w dużej mierze wzięłem na siebie rolę inicjatora i lidera, co w tak młodym wieku było niesamowitym doświadczeniem. Byłem takim dzieciakiem, który chodził na spotkania z przedstawicielami najwyższych władz miasta czy dyrektorami szacownych instytucji publicznych – ludzie patrzyli na mnie i w pierwszej chwili nie widzieli, co ja tam robiłem, czego chcę, bo wyglądałem jak świeżo upieczony maturzysta. To była dla mnie najprawdziwsza szkoła życia.

Z drugiej strony, gdy kończyłem doktorat, Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie zaprosiło mnie do dwuletniej współpracy nad działaniami dotyczącymi Placu Defilad. Tym razem bazowałem już na zdobytych

„Sednem modelu jest to, że zaangażowanie w nim nie ogranicza się do konsultacji czy deklaracji oczekiwań, ale obejmuje aktywność na etapie wdrażania rozwiązań i opieki nad nimi. Chodzi o formułę wzięcia realnej odpowiedzialności za przestrzeń bez jej zawłaszczenia”.

wcześniej doświadczeniu, odwoływałem się do zdobytej wiedzy, występowałem jako ekspert. Ten projekt dał mi możliwość skonsumowania wie-

dzy, zrobienia kolejnego ważnego kroku do przodu.

Z jakiego osiągnięcia, jeśli chodzi o Pana działalność naukową i badawczą jest Pan dotychczas najbardziej dumny?

Na początek warto tylko zaznaczyć, że zdecydowanie lepiej czuję się ze słowem „badacz” niż „naukowiec”. Taka jest specyfika naszej dziedziny. Bardziej pasuje do nas angielskie „researchers” niż „scientists”.

Gdybym miał dzisiaj wskazać dokonanie ważne nie tylko z mojej osobistej perspektywy, ale mające istotne znaczenie, takie które ku mojej radości doceniane jest przez wiele innych osób i instytucji, wskazałbym model Lokalnych Gospodarzy. To sposób świeżego spojrzenia na partycypację taką, jaką znamy. To model, który poszerza rozumienie miejskiej partycypacji. Formuluje na nowo wyzwania, stawia nowe cele.

To model, który stosuję opierając się na doświadczeniach ze Stanów, tamtejszych teoriach i praktykach, dostosowanych jednak do polskich warunków. Model, który popularyzowałem, testowałem

i wdrażałem w konkretnych projektach miejskich, między innymi we wspomnianych wcześniej działaniach dla warszawskiego Placu Defilad. Z przyjemnością też dostrzegam, że

spojrzenie na projekty urbanistyczne przez pryzmat Lokalnych Gospodarzy już nie raz zostało podjęte przez studentów i dyplomantów w ich pracach. Nie raz też spotkałem się z odniesieniami do Lokalnych Gospodarzy w mediach czy na konferencjach. To spojrzenie i określenie, które zaczęło już być własnym życiem.

Na czym polega popularyzowany przez Pana model? Kto jest zaangażowany, na jakiej zasadzie strony mają ze sobą współpracować?

Celem jest znalezienie prostej, uniwersalnej formuły współzarządzania przestrzenią. Sednem modelu jest to, że zaangażowanie w nim nie ogranicza się do konsultacji czy deklaracji oczekiwań, ale obejmuje aktywność na etapie wdrażania rozwiązań i opieki nad nimi. Chodzi o formułę wzięcia realnej odpowiedzialności za przestrzeń bez jej zawłaszczenia. Jednym zdaniem, Lokalni Gospodarze to niekoniecznie ci, którzy mają legalne prawo do danego terenu – to niekoniecznie formalni zarządcy – ale ci, którzy są gotowi wziąć za przestrzeń długoterminową odpowiedzialność. Póki co, z różnych względów – w tym prawnych – takie rozwiązania nie występują w Polsce. Ale sprawdzamy różne sposoby, szukamy rozwiązań, które pozwoliłyby wykorzystać taki model pracy na polskim gruncie.

Co utrudnia wprowadzenie tego modelu?

Bariery są bardzo różne. Taką najbardziej podstawą przeszkodą jest brak

instrumentu prawnego pozwalającego na zrzeszenie różnych podmiotów chętnych do współpracy w projekcie – formuły stowarzyszenia czy fundacji nie pozwalają na sformalizowanie współpracy pomiędzy osobami fizycznymi i prawnymi, nie wspominając o jednostkach samorządu czy o biznesie.

Drugą trudnością jest brak sprawnego instrumentu umożliwiającego powierzania zadań publicznych niepublicznym podmiotom – takim, które chcą się zaangażować mimo braku tytułu prawnego. Jednocześnie na świecie przykładów takich praktyk jest już dużo, jest od kogo się uczyć. Często są to praktyki mające za sobą długą historię, a zatem również i wypracowane sposoby radzenia sobie z potencjalnymi zagrożeniami, które nazywam „bezpiecznikami” takich układów.

Trzecią trudnością jest fakt, że instytucje publiczne chcąc zająć się nieswoją (z formalnego punktu widzenia) przestrzenią, niejako wykraczają poza zakres swoich statutowych obowiązków. Zaangażowanie zawsze wiąże się z przekazaniem jakiegoś zakresu środków, zasobów, nie ważne czy finansowych, czy ludzkich – ale te powinny być gospodarowane jedynie w zakresie ściśle określonych zadań danej instytucji. Sama dobra wola dyrektora nie wystarczy. To trudności, które można próbować każdorazowo wymijać, obchodzić, jakoś „kombinować” – ale na dłuż-

szą metę są to bardzo poważne ograniczenia.

Moglibyśmy się teraz skoncentrować na jednym z wymienionych przez Pana projektów i na jego przykładzie zobrazować działanie modelu?

Możemy omówić projekt Gospodarzy Placu Defilad. Od wielu lat toczy się w Warszawie dyskusja o sposobie zagospodarowania przestrzeni przed Pałacem Kultury i Nauki. Projekt pokazał, że istotną rolę w tym procesie mają do odegrania instytucje publiczne zlokalizowane bezpośrednio przy placu. To one mogą niejako wziąć na siebie ciężar publicznej dyskusji, opieki nad wizją, koordynacji, i tak dalej.

W gronie instytucji, które już działają na placu zbudowaliśmy wizję partnerstwa – Lokalnych Gospodarzy Placu Defilad, którzy mogliby i powinni aktywnie uczestniczyć w procesie kształtowania tej przestrzeni. Taka koalicja instytucji to jednak zupełnie inny rodzaj partnera dla władz miejskich. I nie chodzi o to, że ważniejszy niż na przykład mieszkańcy, ale o wiele bardziej złożonej „osobowości”. Dla takiego partnera znane narzędzia partycypacji w planowaniu są zupełnie nieadekwatne. Z taką koalicją inaczej prowadzi się rozmowę, inaczej buduje współpracę, inaczej dzieli zadania.

Na Placu Defilad, dzięki takiej przemyślanej organizacji, instytucje publiczne odegrały znaczącą rolę. Wspierały dyskusję nad wariantami

rozwiązań i wspomogły koordynację. Model Lokalnych Gospodarzy stworzył forum współpracy. Choć cele postawione zostały o wiele ambitniej. Partnerzy przekonują, że są gotowi wziąć odpowiedzialność za tę przestrzeń także wtedy, gdy inwestycja zostanie już oddana do użytku. Że są gotowi współzarządzać Placem Defilad.

Jak dotąd podawał Pan przykłady projektów realizowanych głównie w Warszawie – czy gdzieś poza stolicą również stosował Pan ten model?

Faktycznie, ja sam zawodowo związany jestem głównie ze stolicą. Ale stale zdarza mi się opowiadać o tym podejściu w innych miastach, najczęściej na zaproszenie instytucji, którym taki sposób myślenia jest bliski. Nie każdy definiuje to zagadnienie w taki sam sposób, ale doświadczenie jest naprawdę uniwersalne i wiele możemy się od siebie wszyscy nauczyć.

Na koniec chciałabym jeszcze spytać – jaka jest w Pana odczuciu rola naukowca, czy może bardziej, badacza?

Myślę, że kluczową rolę społeczną naukowców czy akademików powinno być – bo nie zawsze jest – bycie krytycznym wobec rzeczywistości. Podważanie utartych ścieżek myślenia i działania. Bycie niezadowolonym z obecnego stanu rzeczy. Dostrzeganie braków, problemów, wyzwań. Bycie na przeciwnym biegunie do wszelkich form odruchowego, potocznego myślenia, czyli tak zwanego „common sense”.



Czyli taki badacz innowator.

Dokładnie. Badacz, którego nie motywuje do działania skrajna ciekawość, jest koniec końców raczej mało użyteczny. W przypadku urbanistyki, bardzo bliska jest mi krytyczna myśl miejska, której sednem jest niestrudzone odwoływanie się do wyobrażeń na temat lepszego miasta. Świat staje się coraz bardziej miejski, a my powinniśmy przynajmniej próbować kreować jego lepszą wersję, zamiast po prostu replikować to, co już znamy. To właśnie z bycia krytycznym rodzi się innowacyjność.

Sama ciekawość jednak nie wystarczy. Musi iść w parze z odwagą. Próba i eksperyment zawsze są okupione ryzykiem dotkliwej porażki. Dlatego cieszę się, że tak a nie inaczej potoczyły się moje losy od samego początku zawodowej kariery. Że ciekawość myślenia o warszawskiej skarpie i po-

mysł na Warszawską Drogę Kultury od początku weryfikowałem w działaniu. Dzięki temu intuicje albo od razu się potwierdzały, albo spotykały się z brutalną weryfikacją. Podejmowaliśmy je zresztą zespołowo, nie były to tylko moje wyobrażenia, ale wynik współpracy, dyskusji, wymiany doświadczeń, a czasem – zwykłego przypadku. W dyscyplinie urbanistyki taki sposób weryfikacji akademickich intuicji jest jedynym możliwym rozwiązaniem.

Rozumiem, to teraz przejdźmy do pojęcia społecznej odpowiedzialności nauki. Co ona dla Pana oznacza?

Pierwsza rzecz, która mi przychodzi do głowy, to że nigdy nie przestajesz zadawać sobie pytań. Bycie osadzonym w świecie nauki i właśnie ta możliwość stawiania pytań jest bardzo dużym przywilejem.

Często mam takie autentyczne, palące uczucie, że jeśli zajmując się jakimś zagadnieniem miejskim nie sformułuję dodatkowych dwóch, trzech pytań pogłębiających dyskusję, to być może już nikt ich nie zada. Pełnimy różne role społeczne i nie każdy jest powołany do dzielenia włosa na czworo czy doszukiwania się bez końca drugiego dna. Ale ja często właśnie za to czuję się osobiście odpowiedzialny.

To sprawiedliwe podejście. Jak widzi Pan rozwój Pana dziedziny ciągu najbliższych 10 lat? Jak widzi Pan możliwość rozwoju swoich badań w tym samym okresie?

Jestem przekonany, że urbanistyka jako dziedzina będzie zyskiwać na znaczeniu. W tym kierunku rozwija się świat. Miasta stają się soczewką cywilizacyjnych problemów, dlatego zajmowanie się nimi będzie coraz ważniejsze. Można czasem usłyszeć głosy, że urbanistyka umiera. I faktycznie, w pewnym sensie umiera, ale tylko jej stara forma, którą niektórzy wspominają odnosząc się do doświadczeń połowy XX wieku. Natomiast studiowanie miast i kierowanie procesami miast, poznawanie procesów miejskich w żadnym wypadku nie umiera - jest coraz istotniejsze. Widać to gołym okiem - to tematy, które stają się coraz modniejsze, nawet w kontekście kawiarnianych czy medialnych dyskusji. Więc można powiedzieć, że urbanistyka po prostu się zmienia i trzeba zrozumieć, o co w niej dzisiaj chodzi. I o co będzie w niej chodziło w przyszłości.

A jak widzę siebie za dziesięć lat? Mam nadzieję, że będę zajmował się wtedy czymś zupełnie innym.

O, to zaskakujące wyznanie - wie Pan już, czym konkretnie?

Oczywiście, że nie wiem. Ale zawsze intrygowała mnie kariera socjologa-urbanisty Manuela Castellsa, którego rozwój intelektualny i każda kolejna książka otwierały każdorazowo nowe rozdziały myślenia o mieście. Nawet jeśli wszystkie prace utrzymane są w określonej tradycji intelektualnej, to jednak raz na jakiś czas Castells był zdolny postawić nowe pytanie, nowy problem, nowe wyzwanie. To bardzo rzadka umiejętność. Ale właśnie taka postawa określa dla mnie wzór badacza - gdy wszystkich dookoła zajmuje próba odpowiedzi na postawione przez siebie pytanie, ty już formujesz kolejne.

Rozmowę przeprowadziła:
Gabriela Hołdanowicz
(DBA CZliTT PW)